

WOSP, KSIĄDZ JERZY I MONIKA

Studiowałem w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej od 1979 r. W 1981 r. w 15 osób założyliśmy na uczelni NZS. Zaczęliśmy strajk 25 listopada 1981 r., powodem był protest przeciwko zmilitaryzowaniu naszej uczelni, podporządkowanej MSW. Nie chcieliśmy powtórki Marca '68, kiedy to podchorążych z naszej szkoły ubrano w orwaskie mundury i wysłano, aby bić studentów. Znaliliśmy to z opowiadań naszej kadry oficerskiej.

Strajkowe dni

Wiedzieliśmy, że w Gołdzinowie są dla nas przygotowane dwa stary z napisem: Wyższa Oficerska Szkoła Pożarnicza. W jednym były ubrania i buty takie jak dla zomowców, a w drugim pałki, tarcze i cały sprzęt. Nie chcieliśmy być przeszkolonymi, zdyscyplinowanymi ludźmi MSW.

Działaczom NZS na naszej uczelni nie było łatwo, jakiegokolwiek trudności w nauce stawały się okazją do cichych represji. Ja musiałem powtarzać rok z powodu braku zaliczenia jednego przedmiotu – konstrukcji maszyn, choć można było być na czwartym roku i mieć niezaliczony przedmiot z wcześniejszych lat. Chciano nas wtedy w różny sposób przetrzebić. Przeczuliśmy, że jak dojdzie do starcia władzy ze społeczeństwem, to umieści się nas siłą po rządowej stronie barykady. Nie chcieliśmy być milicjantami, tylko studentami.

Podczas strajku byłem członkiem komitetu strajkowego odpowiedzialnym za sekcję porządkową, czyli warty i różne sprawy organizacyjne. W pierwszych dniach strajku panował kompletny luz, wydawało się, że nikt się nami nie interesuje. Potem szkołę otoczyli cywile – tajniacy. Było ich około 40. Spacerowali pojedynczo albo po dwóch. Następnego dnia przyjechali milicjanci, kolejnego zomowcy, a później także wojsko, które nas otoczyło. Oni stworzyli szczelny kordon, ale ludzie przerzucali nam ponad nim jedzenie, papierosy i inne potrzebne rzeczy, które były wtedy na kartki. Ludzie dbali o nas tak bardzo, że w końcu apelowaliśmy, by już nic nie przynosili, bo mieliśmy tam wszystkiego pod dostatkiem. Mieliśmy nawet papierosy Marlboro, których nigdy wcześniej nie paliłem.

Ksiądz Jerzy – strajkowy kapelan

Koledzy chcieli, aby przyszedł do nas podczas strajku ksiądz. To było dosyć specyficzne, bo uczelnia pozostawała pod patronatem MSW. Wcześniej nikt oficjalnie nie bronił nam cho-

Fot. z arch. parafii św. Stanisława Kostki w W-wie



Msza św. podczas strajku w WOSP, 12 listopada 1981 r.

dzenia do kościoła, ale było to bardzo źle widziane przez władze szkoły. Nawet w prywatnych rozmowach między sobą zwykle unikaliśmy tematów związanych z wiarą. Przyznam, że kiedy proszono o przyjęcie księdza, byłem tym zaskoczony. Najbliżej była parafia św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Poszedłem do kościoła, gdzie kazano mi szukać ks. Jerzego Popiełuszki, o którym wcześniej nic nie słyszałem. Nie zastałem go. Następnego dnia Waldemar Chrostowski, który był przewodniczącym krajowej sekcji „Solidarności” Pożarnictwa, przywiózł go nam bezpośrednio z Huty Warszawa. Ksiądz Jerzy odprawił u nas Mszę św.

Już następnego dnia nie można było do nas przychodzić, ale on przedarł się w jakiś sposób przez kordon ZOMO. Potem wciągnęliśmy go za ręce przez okno. Pamiętam, że było nas tam prawie 400 osób. Nikt wcześniej nie deklarował, czy jest wierzący, ale padło hasło: spowiedź. Ksiądz Jerzy postawił na końcu auli dwa krzesła. Na jednym z nich usiadł. Jakies 90 procent chłopaków ustawiło się w kolejce do spowiedzi. Kolejka ciągnęła się przez korytarze. To było mocne i wzruszające przeżycie. Spowiadanie trwało godzinami.

Dla mnie był to szok. Dzięki temu dokonał się wtedy przełom wśród nas. Jurek przychodził do nas jeszcze kilka razy, nie pamiętam dokładnie, ale jakies 5–10 razy. Był z nami na każde nasze życzenie: spowiadał, odprawił Mszę. Wtedy odbierałem go jako kolegę, sympatycznego młodego, wesołego, spokojnego człowieka. Nauczył nas *Pieśni Konfederatów Barskich*. Do dziś mam przed oczami, jak siedzi obok chłopaka, który gra na gitarze, i razem śpiewają.

Wojna nerwów

Traciliśmy jednak ludzi ze strajku. Wielu chłopaków było spoza Warszawy, miało w rodzinie oficerów pożarnictwa. Często zdarzało się tak, że przysyłano z domu do szkoły telegram ze słowami, że ojciec ciężko chory. Był też taki przypadek: kolega dostał telegram, że jego ojciec zmarł i żeby przyjeżdżał jak najszybciej do domu. To wszystko okazywało się kłamstwem, to były gry operacyjne. Chodziło o to, aby wyciągnąć poszczególne osoby ze strajku, przeciągnąć na własną stronę, wybić z głowy strajk i wypuścić na wolność.

Z czasem zaczęło nam towarzyszyć olbrzymie napięcie związane też z tym, że mieliśmy na terenie szkoły magazyn z bronią ostrą. Zgłoszono mi, że była próba włamania do magazynu, więc postawiłem tam całodobową wartę i nigdy tej broni nie ruszyliśmy.

Próbowano nas złamać, przez megafon nadawano komunikaty, że czeka na nas jednostka wojskowa w Orzyszu, że pójdziemy do karnej kompanii. Były też fałszywe komunikaty w telewizji i gazetach, mówiące o buncie podchorążych. W mediach wypisywano bzdury na nasz temat. Izolowano nas, nie dopuszczano do rozmów telefonicznych.

Razem z moim kolegą Darkiem nie spaliśmy przez kilka dni, byliśmy prawie 100 godzin na nogach. Napięcie psychiczne było tak duże, że nie mogliśmy już nic jeść. Później Darek na Politechnice Warszawskiej odsypiał ten czas – spał bez przerwy 30 godzin.

Pacyfikacja

Kiedy obchodziłem nasze warty, wśród otaczających nas zomowców spotkałem kolegów ze szkoły średniej. Jeden z nich, Marek, zapytał, czy nie moglibyśmy dać im trochę papierosów. Częstowaliśmy ich. W efekcie zaczęła się tworzyć między nami, jako młodymi ludźmi, jakaś więź. Wiedzieliśmy, że oni mogą nas zaatakować. Mieliśmy uzgodniony plan, że nie będziemy się bronić, tylko wszyscy zbierzemy się wtedy w auli.

Zaatakowali nas 2 grudnia równocześnie z powietrza i ziemi. Z helikoptera zrzucano na dach milicjiny oddział antyterrorystyczny z lotniska Okęcie pod dowództwem Jerzego Dziewulskiego. Inni wdarli się przez ogrodzenie. Do dzisiaj widzę, jak oni, niczym mrówki,



ATAK NA WOSP
FOTOGRAFOWAŁ
WŁADYSŁAW BUJHAK



przeskakują przez płot. Znali perfekcyjnie topografię szkoły, każdy biegł do wyznaczonych pomieszczeń. Widziałem to przez okno auli.

Oni mogli myśleć, że użyjemy broni, skoro ją mamy, ale my stawialiśmy tylko bierny opór. Zdarzyło się, że komuś wykręcili ręce. Ale w zasadzie nie byli jakoś brutalni wobec nas. Poturbowali jedynie Krystynę Kolasińską, która była kucharką w WOSP, i wspomagającego nas Seweryna Jaworskiego, wiceprzewodniczącego „Solidarności” Regionu Mazowsze.

W auli powiedzieli nam, że mamy jechać wszyscy do domów i za kilka dni stawić się do szkoły na zajęcia. Wróciliśmy do pokoi, żeby zabrać nasze rzeczy. Wcześniej w każdym była rewizja. Gdy pakowaliśmy się, pilnowali nas zomowcy; w naszym pokoju akurat ten, któremu dawaliśmy papierosy. Powiedział, że mówiono im, że my porozlewaliśmy pastę do podłóg i porozbijaliśmy butelki na korytarzach, że możemy do nich strzelać ostrą amunicją. Oni bali się nas bardziej niż my ich. U nas panował spokój do tego stopnia, że kogoś zastali w pokoju, jak spał, a innego z kolegów, jak kąpał się pod prysznicem.

Gdy wyszliśmy pod ich eskortą ze szkoły, byliśmy moralnymi zwycięzcami. Mimo pacyfikacji czuliśmy się dumni. Śpiewaliśmy wtedy *Pieśń Konfederatów Barskich*. Zawieźli nas autokarami na Dworzec Centralny. Kazali wracać do domów. Część z nas pojechała do Komendy Głównej Straży Pożarnej, inni do księdza Jerzego.

Pomoc po pacyfikacji

Kiedy nas rozgonili, kontynuowaliśmy strajk na Politechnice Warszawskiej. Bez umawiania spotykaliśmy się w domu u Jurka i na terenie parafii św. Stanisława Kostki. Jurek dał wtedy każdemu z nas na przetrwanie sumę, która odpowiadała dzisiejszym 300 zł. Większość studentów była spoza Warszawy. U mnie mieszkało wtedy dziewięciu, a reszta tułała się po innych prywatnych mieszkaniach lub akademikach. Pomimo braku telefonów potrafiliśmy się skrzyknąć.

Jurek przyjmował nas bardzo miło. W stanie wojennym załatwił nam też profesorów, wykładowców z Politechniki, którzy po kościołach, w salkach prowadzili dla nas tzw. zajęcia wyrównawcze, żebyśmy nie wypadli z rytmu. Martwił się, że większość z nas nie wróci na uczelnię, że ci, którzy pojedą do domu, pójdą do wojska, a może nawet do więzienia. Byliśmy podzieleni na grupy. Pamiętam na pewno, że na zajęcia z matematyki jeździłem do kościoła św. Anny. Wykładowcy mieli ducha podziemnej „Solidarności”.

Jerzy załatwił nawet dla potrzebujących kwatery. Pamiętam, że spotykaliśmy się u państwa Syrewiczów przy ul. Gdańskiej. To była rodzina akowców. Opowiadali nam, że kiedy UB ich aresztowało po wojnie, zamknęło w mieszkaniu trójkę ich małych dzieci, z których najstarsze miało 5 lat.

Później coraz trudniej było nam dotrzeć do Jerzego. Bywało u niego mnóstwo osób. Msze za Ojczyznę stały się głośne w całej Polsce. W następnych latach w rocznicę pacyfikacji – 2 grudnia – spotykaliśmy się u Jurka.

Powrót na studia

Chciałem wrócić na studia do WOSP, ale wezwano mnie na SB i kazano podpisać papier, w którym była mowa o tym, że naszą szkołę rozwiązali i zmienili jej nazwę. Trzeba było napisać podanie o przyjęcie. I był tam taki punkt, że będę wykonywał wszystkie rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych. Dwa inne też dotyczyły podporządkowania szkoły MSW. Przesłuchiwała mnie jakaś kobieta. Powiedziałem jej, że podpiszę ten dokument, ale z zastrzeżeniem, że wezmę ten jeden punkt w klamerkę i dodam do niego słowa „na czas nauki”. Ona się nie zgodziła, powrót miał być bezwarunkowy.

Miałem wtedy świeżo w pamięci opowiadanie brata mojej matki, który pracował w FSO, że szantażowali tam ludzi „Solidarności” ich dawnymi oświadczeniami, jeszcze z czasów stalinowskich, podpisanymi najczęściej pod przymusem, na których była deklaracja współpracy. Te oświadczenia wpuszczano tam do obiegu, aby zdyskredytować ich w oczach koleków. Bałem się takiego szantażu.

Oni naciskali na nas. Dostaliśmy zgodę Kiszczaka na studia poza byłą WOSP. Ale polegało to na tym, że porozbijano nas na grupy nie większe niż 10 osób i mogliśmy studiować w miastach liczących nie więcej niż 100 tys. mieszkańców. Mnie z kilkoma kolegami skierowano do Białegostoku na tzw. egzamin wstępny. Przyjęli nas tam bardzo serdecznie, znalazły się nawet miejsca w akademiku, o które zawsze było ciężko.

Mieliśmy zdawać egzamin z matematyki. Egzaminatorzy podyktowali nam pięć zadań i wyszli z sali. Zadania były łatwe i szybko je rozwiązaliśmy. Drugiego dnia miał być egzamin ustny. Przyjechali wtedy wykładowcy z Warszawy. Pytania dostaliśmy tak trudne, że przerosły nasze możliwości. Egzaminował nas wykładowca z Politechniki Warszawskiej, który potem – jak słyszałem – okazał się współpracownikiem SB. Egzamin zdało dwóch pierwszych z listy o nazwiskach Drzazgowski i Drzewiecki, a reszta nie. I ten wykładowca powiedział, że jeszcze wrócimy do swojej pożarniczej szkoły. Im bardzo zależało na tym, ale nas ambicja wzięła, że nie podpiszemy tych oświadczeń. Prawie 40 studentów nie wróciło do szkoły, wielu nie skończyło studiów. Większość popierających nas cywilnych wykładowców WOSP została usunięta z uczelni.

Pamiętam, że jeździłem jeszcze z moim kolegą Heńkiem nawet do Zielonej Góry. Chcieliśmy wznowić studia. Najczęściej mówili nam w dziekanatach, że możemy, tylko muszą się upewnić. Jak się upewnili, to nam dziękowali. Trochę tych uczelni odwiedziliśmy. Ktoś nam powiedział, że nawet jak nas przyjmą, to nie będziemy studiować dłużej niż jeden semestr.

Próbowaliśmy jeszcze studiować na kierunku budowy okrętów w Szczecinie, na którym nigdy nie było wystarczającej liczby chętnych. I nawet wstępnie rozmawialiśmy z jakimś profesorem. Bardzo ciepło przez telefon wypytywał o stopnie, zgodził się nas przyjąć, bo mieliśmy po czwórce z matematyki. Jak przyjechaliśmy, to zareagował strasznie ostro. Usłyszeliśmy słowa: „Sp...dalać, po co tu przyjechaliście!”. Kiedy chcieliśmy przypomnieć, że przecież rozmawialiśmy i ustaliliśmy wcześniej wszystko przez telefon, wszystkiego się wyparł i wyrzucił nas za drzwi. Oni dawali nam do zrozumienia, że mamy swoją uczelnię i tylko na nią możemy wrócić. Nie skończyłem więc studiów.

Przyjaźń

Dzięki temu, że znam Waldka Chrostowskiego, miałem ułatwiony dostęp do księdza Jerzego. On dał mi potem ślub. Pamiętam, jak z żoną poszliśmy do niego na święta Bożego Narodzenia i pokazał nam swoją choinkę. Był z niej bardzo dumny, chociaż nie miała bombek. Było na niej zawieszonych jakieś 80 kartek



Ślub Barbary i Leszka Prusaków

Fot. ze zbiorów autora

pocztowych i listów. Część była życzeniami z więzień, a część „normalna”, bez polityki i słów wszechobecnego w kościołach patriotyzmu. Tam były teksty: „nie byłem 17 lat u spowiedzi, po spotkaniu z tobą poszedłem po raz pierwszy”. Takich była większość. Ciągle traktowałem go jako młodego sympatycznego chłopaka, choć był już znany w Polsce i wielu odnosiło się do niego z pewnym nabożeństwem.

Miał w domu ciągły młyn, bo był nieustannie rozchwytywany. Był zmęczony, pełen napięcia. Pamiętam, że ktoś mu dał kiedyś telewizor na pilota, co było wielką rzadkością. Przyszedłem, aby sobie z nim pogadać, a on usiadł i „kliknął” po tych dwóch telewizyjnych programach. Nie oglądał telewizji, ale się nią bawił.

Warto wspomnieć też o naszej znajomej Krystynie Kolasińskiej, kucharce, którą zomowcy pobili podczas pacyfikacji strajku. W stanie wojennym wykradaliśmy ją ze szpitala (o ile pamiętam, była w szpitalu MSW przy ul. Komarowa) i Jurek też maczał w tym palce. Ona była później bez pracy i bywała na parafii.

Dla Jurka nie istniały rzeczy materialne. My zanosiliśmy mu wędliny własnej roboty, a on je zaraz rozdawał innym. Kryśka weszła kiedyś na chwilę do pokoju w mieszkaniu Jurka, w którym siedzieliśmy we trójkę z nim i z moją żoną Basią, i mówi: „Jurek, przyniosłam ci z darów spodnie”. Odpowiedział jej, żeby je gdzieś położyła. Jeszcze nie zdążyła wyjść, a on mówi do mnie: „Leszek, chcesz te spodnie, zobacz, jakie są fajne”. A ona to usłyszała i mówi do niego: „Cholera jasna, Jurek, przecież ty masz jedne poprzecierane, stare sztruksy, w których ciągle chodzisz. Będziesz miał chociaż drugą parę na zmianę”. On nie przywiązywał żadnej wagi do spraw materialnych.

Adoptowana córka księdza Jerzego

Dawał nam ślub we wrześniu 1982 r. Rok później, w listopadzie, urodziła nam się córka Monika. Jej chrzest odbywał się 25 grudnia 1983 r. w dolnej małej kaplicy. Nasza rodzina – jak wiele w tamtym czasie – była podzielona, część była wierząca, część nie, część popierała „Solidarność”, a część partię. Jerzy kazał nam się złapać za ręce i odmówić wspólnie modlitwę *Ojcze nasz*. Dzisiaj jest to normalne, ale wtedy... Stał razem z nami. Na mnie to zrobiło piorunujące wrażenie. Jeden z wujów, który był niewierzący, wspominał, że ta modlitwa przyprawiła go o dreszcze. To wytworzyło niepowtarzalną atmosferę. Mając naszą córeczkę na rękach, Jurek powiedział: „To będzie moja adoptowana córka”.

Pamiętam, że pogrzeb Jerzego odbył się 3 listopada 1984 r., w jej pierwsze urodziny. Gdy miała 5 lat, zdarzył się wypadek. Była pod opieką babci, która zadzwoniła do nas, że córka jest w Szpitalu Bielańskim. Jestem z wykształcenia technikiem rentgenowskim, bo

Fot. ze zbiorów autora



Chrzest Moniki

gdy nie miałem już powrotu na studia, poszedłem do szkoły pomaturalnej. Pracowałem w tym szpitalu. W laboratorium chirurgii dziecięcej lekarka mówi mi, że wszystko z dzieckiem w porządku, ranka głęboka, ale czysta i zaszyta.

Monika powiedziała lekarzom, że przeszła przez płot i wpadła na druty, a że była dzieckiem wyjątkowo sprawnym fizycznie, wierzyłem jej. Po roku dziecko zaczęło utykać, moczyć się, ale nie wiązaliśmy tych zdarzeń z wcześniejszym wypadkiem. Kiedy miała 6 lat, trafiła do najlepszych specjalistów, były rozpoznania, że ma guza mózgu. My przed każdą diagnozą lekarską lecieliśmy do kościoła św. Stanisława Kostki na Mszę w intencji Moniki.

Z czasem okazało się, że ona przeszła przez płot do sąsiada. Idąc za kotem, weszła na szklarnię, która pod nią się zarwała. Spadła prawie 2 metry w dół. Jak stamtąd wyszła, nikt nie wie do dziś. Zapamiętała rękę, która ją stamtąd wyciągnęła. Sama wróciła przez płot. Szkoło wbiło jej się jednak w rdzeń kręgowy. Nikt tego wtedy nie zauważył.

Odbyła się operacja, którą przeprowadzał prof. Donat Tylman w szpitalu na ul. Szaserów. Jej przebieg był filmowany, bo było to chyba pierwsze w Polsce zdarzenie wyciągania obcego ciała, które utkwione było w rdzeniu kręgowym. Operacja udała się i szkło usunięto. Monika miała wtedy 6 lat i początkowo w ogóle niewładne nogi.

Po operacji pytamy się jej: „Monisiu, co pamiętasz z tej operacji?”. A ona nam odpowiedziała: „Wszystko pamiętam, jak jechałam na wózku, potem byłam na sali z zielonymi kafelkami, wszyscy byli ubrani na zielono, mieli maski, tylko ksiądz Jerzy nie miał”. Ona go przecież nawet nie знаła, chociaż w naszym domu dużo się o nim mówiło. Pytam ją: „Co ty dziecko mówisz?”, a ona dodaje: „Tylko ksiądz Jerzy był bez maski i był w czarnej sukience”. Ja myślałam, że ona bredzi, więc pytam: „No i co ksiądz Jerzy robił?”. Ona odpowiada: „Siedział na taborecie i trzymał mnie za rękę”. I mówiła to tak naturalnie, że pielęgniarki były się tego słuchać i wychodziły z sali. Gdy poszliśmy do prof. Tylmana z podziękowaniem za udaną operację, on użył stwierdzenia, że operacja poszła, jakby ktoś mu rękę prowadził. Drugi lekarz, dr Rudnicki, to potwierdzał.

Teraz mam pewność, że Jerzy zachował to ojcostwo nad Moniką, tak jak obiecał. Ona miała w ogóle nie chodzić albo chodzić o kulach. Teraz tylko lekko utyka na jedną nogę. Oddaliśmy to szkło do kościoła św. Stanisława Kostki. Historię Moniki, traktując jako osobiste wstawiennictwo ks. Jerzego, włączyliśmy z żoną do materiałów przygotowujących jego beatyfikację.



Fot. ze zbiorów autora

Ksiądz Jerzy z Moniką

Spisał i opracował Jarosław Wróblewski

